Joanna Bator

Podkowa Leśna

Jestem zrobiona ze spojrzeń (P.P. Rubens, *Das Pelzchen*)

Jestem zrobiona ze spojrzeń. Wasze spojrzenia są moim ciałem. Miękką plastyczną materią, która zapada się i pęcznieje. Zapada się i pęcznieje. Jeśli przestaniecie patrzeć, znieruchomieję i stracę kolor jak wyrzucona na brzeg meduza. Kupka martwej półprzejrzystej galarety.

Przez was zmieniam się na wasz obraz i podobieństwo. Kurczę się i naciągam. Twardnieję i mięknię. Brzydnę i pięknieję. Puchnę z dumy i zakłęsam jak nieudane ciasto. Przeglądam się w waszych oczach. Moje ciało jest budzącym pożądanie obiektem albo wstrętnym mięsem. Przybieram kolor świeżej śmietanki albo pleśni. Lśnię i matowieję. Jaśnieję i staję się czarna jak futro na moich ramionach. Zapadam się i pęcznieję. Patrzcie! Ten pan rozbiera mnie wzrokiem, widzi we mnie dziewczynę poznaną pewnego lata. Zdejmij to futro! Jego oczy żądają i płoną. Podobna, taka podobna! Upodabnam się więc. Jestem teraz gładka i pełna, miła i ciepła. Naga. Tamten inny pan jednak kręci nosem, jego oczy ważą mnie i mierzą. „Gruba baba — mówią jego oczy — co oni w niej widzą?” Gruba i brzydka. Moje ciało pęcznieje, jestem gruba, bezbronna, już prawie nie istnieję. Ta pani z kolei patrzy podwójnie przez szkła. Gdyby zobaczyła teraz swoje oczy w lustrze, padłaby trupem. Wzrokiem kawałkuje mnie od góry w dół i dzieli na porcje jak rzeźnik. Ciach, spada płat mięsa z mojego ramienia. Ciach, z brzucha. Moje uda na dłużej zatrzymują noże jej oczu. Ciach, ciach. Ostrza odcinają miękką tkankę. Zapadam się. Maleję, zanikam. Kupka galarety nakryta futrem.

Wszystko zależy od waszego spojrzenia. Dzień w dzień, rok po roku, wiek za wiekiem. Piękna, brzydka. Gruba, chuda. Wasze oczy rozszerzają się, mrużą, wbijają się we mnie. Oczy, noże, brzytwy, ochocze palce, którymi nie możecie mnie dotknąć.

Patrzycie, wpatrujecie się, świdrujecie mnie wzrokiem, zapuszczacie oczy w moje włosy, usta, pod moje powieki, wbijacie oczy pod paznokcie moich dłoni i stóp, w głąb porów mojej skóry, pod futro, którym kazał mi się okryć, by na mnie patrzeć. Tak powiedział. „Niech na ciebie popatrzę!” Wyszedł z kąpieli, podłoga była zimna, od okna jego pracowni ciągnął chłód. „Odsłoń się bardziej, mniej,

stań tam, bliżej, w lewo, w prawo, źle, lepiej, tak, unieś piersi, bardziej, mniej, jeszcze trochę”. Tamtego dnia zobaczył we mnie zawstydzoną Wenus. Zawstydzoną Wenus między innymi. Wieloma innymi, które we mnie widział. Które kochał we mnie i przez mnie. W jego oczach byłam piękna. Byłam, kim chciał, bym była. Andromeda, żona, Wenus, matka, Piękna Helena, pastereczka, Hera tryskająca mlekiem, które rozbryzguje się po niebie. Dzięki jego oczom istnieję do dziś, wystawiona na wasze spojrzenia.

Moje ciało przyjmowało jego nasienie i spojrzenie. Zmieniało się. Zapadało i pęczniało. Mówił mi, jak mam patrzeć. Nieśmiało, zalotnie, dumnie. Miałam szesnaście lat, kiedy zostałam żoną. Drugą żoną Rubensa. Nikim innym nie zdążyłam się jeszcze nabyć. Córką, ostatnią z jedenaściorga dzieci, panną na wydaniu. Był ode mnie starszy o czterdzieści lat. Kochał mnie tak jak mężczyzna, który patrzy, kocha kobietę. Jego oczy mnie kochały i używały. Moje ciało pęczniało i zapadało się. Urodziłam mu pięcioro dzieci. Kiedy umarł, poślubiłam innego i urodziłam jeszcze sześcioro dzieci. W sumie jedenaścioro jak moja matka. Moje piersi ciągle wypełniało mleko, mój brzuch był jak mieszkanie dla zmieniających się lokatorów. Ból zdarzał się i mijał. Byłam silną kobietą. Umiałam wziąć, co życie miało mi do dania. Moje ciało nie należało do mnie, lecz mogłam je ozdabiać. Widzicie, jak lśni ta duża perła w moim lewym uchu?

A wy? Kogo dziś we mnie widzicie? Wasze oczy są bezwstydne. Grzebiecie we mnie wzrokiem. Próbujecie dostać się do mojego wnętrza i odsłonić to, co zakryte. Ostrza waszych spojrzeń wkluwają się w moją skórę. Rozcinają ją, zagłębiają się w żółtawą warstwę tłuszczu, zgrzytają o kości. Próbujecie się dogrzebać do tego, co inni zobaczyli. I tego, czego nikt jeszcze nie widział. Mam dla was niespodziankę. Z czasem nauczyłam się sama patrzeć. Czujecie mój wzrok? Przerażają mnie te wasze dziwne białe zęby, nawet starzy macie tyle zębów, że czasem boję się was, kiedy tak kłapią koło mnie. Te wasze zęby! Kłap, kłap! Boję się, że nie wystarczy wam zapuszczanie wzroku i wbijecie je w moje ciało. Widzę żalosne ubrania opięte na waszych ciałach. Przychodzą tu prawie nagie kobiety w łańcach szalonych nędzarek. Inne wystrojone jak ubodzy mężczyźni do kościoła. Gapią się na mnie i kłapią zębami. Kłap, kłap! Pary z długą historią i niby razem, ale każde z dwojga co innego we mnie widzi. Chude dziewczyny o krótkich włosach, małych piersiach. Kłap, kłap! Czy któraś z was wie, jak to jest być rozkoszą i nasieniem dla czyjegoś wzroku? Jak to jest poczynąć w mężczyźnie obrazy i rodzić? Znamie moje imię i nazwisko. Wiecie, kim byłam. Ale nie łudźcie się, że z tego powodu mam mniej tajemnic niż Mona Lisa. Ciągłe tu jestem, a wy przeminiecie. Napatrzyliscie się? Więc idźcie już sobie.